Rozmaitości

Dnia 1. lipca **N**er. **26.** 1831 roku.

Assad Alli, chan Feili,
naczelnik rozbójników perskich.

„Więc Zalim chan dzisiaj tu jeszcze przybędzie?” zapytał niespokojny ketkhoda (wójt) wsi Gurbadeh, wysokiego mężczyznę z pełném czerwoném obliczem, mocno zarośniętémi brwiami i z długą czarną brodą, który przed pomieszkaniem ketkhody, rozłożywszy się wygodnie na pysznym dywanie, puszczał z długiego cybucha gęste kłęby dymu. „Zapewnie że dzisiaj,” odpowiedział zapytany, „możesz się na to spuścić, że nim słońce skryje się za góry, jego wysokość Zalim chan rozgości się w téj wiosce i tu noc przepędzi; miéj więc staranie, żeby wszystko, com ci pojedyńczo wymienił, było w pogotowiu.” — „Ale to nie podobna,” odezwał się znowu ketkhoda, „zkądże tu wziąć tyle pszenicy, żyta i słomy? wszystkie pola całéj naszéj wioski, ledwie we dwóch latach tyle wydadzą; a o ryżu, to ani myśléć — my ubodzy ludzie kontenci, kiedy mamy kawałek jęczmiennego chleba i trochę mléka kwaśnego.” — „Ja się o to wszystko nie pytam”, przerwał mu czarnobrody, „ja wam tylko wprost nakazuję, ażeby było wszystko w pogotowiu, com mówił.” — „I biały cukier, i różne pieczywa, i rozynki z Bukhary i suszone aprykozy kabulskie!” zawołał wójt, chwytając się za głowę, „zkądże, na imię wielkiego Ally, mogło wam przyjść do myśli, że my to wszystko dostawić możemy? zkądże u ludzi, którzy proste pożywienie swoje głodem zaprawiają, znachodzić się mają korzenie, drogie przyprawy i te słodkie i kwaśne sosy, których wy żądacie?” — „Wszystko to może być prawda,” odrzekł zagadniony z bezwstydną obojętnością, „gadaj sobie co ci się podoba, ja ci tylko powtarzam, żebyś rozkazy chana najściśléj dopełnił, inaczéj za skutki sam odpowiesz. Nie tylko masz pamiętać o owocach, o których ci namieniłem, ale i o smacznych ispahańskich melonach, jabłkach kaszańskich, o pomarańczach i cytrynach z Mazanderadu. Nade wszystko zaś pamiętaj przysposobić się w stosowne dla jego wysokości dary; kaszemirskie szale, brokaty lub zbroje najwytworniéjszéj roboty, będą przyjemne; najpożądańszy jednak pieniadz gotowy. W końcu daję ci jeszcze jednę przestrogę, a ta jest, jeżeli chcesz sobie ująć wielkiego chana, abyś nie zapomniał o jego godnym nazyrze. Tak tylko znajdziesz łaskę przed wspaniałomyślnym Zalimem, tak tylko z nasienia, rozsianego ręką szczodrobliwości, zakwitnie dla ciebie róża bezpieczeństwa.” — „*Atła kierim!* to ostatnia moja godzina!” zawołał strwożony ketkhoda, twarz mu się przedłużyła na łokieć, a z każdego zmarszczka blady strach wyglądał. „Sprzysięgliście się na moje życie, niech i tak będzie. Ale żebyście mi, członek po członku, ciało rozszarpali, nie mógłbym ani dziesiątéj części zebrać tego, co ode mnie żądacie; przysięgam to na głowę waszę!” — „A przecież to wszystko być musi,

i to niezwłocznie,» odezwał się z zimną krwią nazyr, rozdmuchując spokojnie grubą chmurę dymu, którą się osłonił. »Niech aby jedna rzecz zabraknie, zaraz to uczyni chana uważnym na ciebie, a skutki ztąd popamjętałbyś jeszcze w ostatnich dniach swoich. Trzeba ci wiedzieć, przyjacielu, że jego wysokość rzadko podróżuje baz potrzebnych środków zjednania posłuszeństwa rozkazom swoim. Dało się słyszeć, że komory i skrzynie zacnego ketkhody wsi Gurbadeh warte są przejrzenia; a Zalim chan prowadzi zwykle z sobą bystre sokoły, które umieją i dostrédz źwierzynę i na nią uderzyć. Prócz tego są jeszcze zaległości podatkowe u niektórych osób, których pamięć potrzeba będzie zaostrzyć.» —

Podczas gdy nazyr mówił te słowa spokojnym, ale pełnym znaczenia tonem, wyraz trwogi i pomieszania, który się rozlał po twarzy ketkhody, przyszedł nagle w osłupiały wzrok najwyższego przestrachu, kolana pod nim zadrżały i w przerażeniu załamywał ręce. »O Mahomecie, oAłła!» zawołał nareszcie, »cóż się ze mną stanie! cóż mogę uczynić! o zacny, szlachetny nazyrze, miéj litość nad nieszczęśliwym! ja nié mam ani skrzyń, ani składów, ani pieniędzy, ani kosztowności! Nic jak te nędzne łachmany, te stare podarte kobierce, ubogą odzież mojéj żony i córki! Wszystko, com miał lepszego, zabrano mi, gdy ostatnią razą, lat temu cztéry, chan tędy przejeżdżał. Nié mam nic, coby wam się przydało. Trochę pszenicy, jęczmienia i słomy możeby się jeszcze znalazło, może z koszyk gron winnych, nieco miodu i masła; ale nic więcéj się nie znajdzie, nic więcéj, przysięgam to na głowę mojego ojca, na imię chana, na własne wasze sumienie!» — »Hm, to w saméj rzeczy nie dobrze,» odpowiedział zimno nazyr. »Więc tu nié ma widzę sposobu; muszę chana o tém uwiadomić, niech on sam będzie sędzią. Wszak wiecie, że ja tylko sługa. Cztéry lata powiadacie? Cztery lata jak chan tędy przejeżdżał? — Żona i córka? — Bez wątpienia i synowie? zapewne żwawe chłopcy?» — »Ah gdzie tam! Niech ich Bóg ratuje; jeden kulawy, drugi zeszpecony przez ospę.» — »A córka? zapewne jak kwiat wiosienny?» — Ah, niestety! nędzneto i to stworzenie!» — »No, no przyjacielu, staraj się, żeby wszystko jak najlepiej było; ja tylko zrobiłem moję powinność i uwiadomiłem cię o rozkazach chana; twoją jest rzeczą wykonać je należycie. Ja teraz muszę się udać na przeciw jego wysokości.» — »Ah ja nie mogę czekać na jego przybycie!» zawołał ketkhoda, załamując ręce, podczas gdy nazyr wsiadał na konia, w pogotowiu stojącego. »Ależ, łaskawy nazyrze,» rzecze daléj zmiękczony ketkhoda, »przecież nie zechcesz tak prędko odjeżdżać? dzień tak gorący. Żona moja ma tu flaszeczkę przedziwnego sorbetu; dałby Bóg, żebyśmy mieli więcéj takiego dla chana! Ale to już ostatki małego podarunku, który mi przysłał mój brat z Ispahanu. Zatrzymajcie się chwilkę, szanowny nazyrze, i pokosztujcie go; albo lepiéj, wstąpcie do mojéj chaty, gdzie przecież wygodniéj wam będzie.» —

Nazyr rzucił przenikliwe spojrzenie na swojego gospodarza i zdawał się chwilę namyślać; dał potém znak swoim sługom, żeby na miejscu zostali i poszedł za ketkhodą. Środkowe pomieszkanie oddzielone było od zewnętrznéj dużéj izby krótkim tylko, pokrytym przechodem; na podłodze rozesłane były małe kobierce, które już mole pogryzły i pokrowce ze skór surowych. Nic tu nie okazywało bogactwa. Lecz gdy nazyr wprawnym wzrokiem rzucił na około, oko jego spoczęło chwilę na węzełkach, które pospiesznie zdawały się być rozłożone i niedbale grubym pokryte kartonem. To bystre spojrzenie nazyra nie uszło podejrzliwéj baczności gospodarza. Podczas gdy po twarzy nazyra przelatywał uśmiech wzgardy, odezwał się pomieszany ketkhoda: »Przebacz panie ubogim ludziom ten nieporządek w domu, moja żona była słaba, to jéj rozrzucone łóżko; niedbała dziewczyna jeszcze nie sprzątnęła; cóż robić, nie bierz to za złe, łaskawy nazyrze! — Husseini, przynieś sorbet!»

Zaledwie usiadł nazyr, gdy młoda dziewica, któréj twarz grubą pokryta była zasłoną, weszła przez drzwi poboczne, niosąc na białéj metalowéj płycie spory dzban

sorbetu, w którym pływała łyżka wytwornéj roboty z gruszkowego drzewa. Chociaż jéj odzież z grubej materyi i niezgrabnego kroju nie przyczyniała się wcale do korzystnego wydania jéj postaci, wszelako jéj lekki chód i wysmukła kibić nie uszły przenikliwemu wzrokowi doświadczonego nazyra. Wziął puhar sorbetu, przemówił wiérszem z Hafiza o podwójnie upajającéj mocy wina, jeżeli go ręka piękności podaje, i żałował w drugiéj strofie, »że tak piękny księżyć ciągle przyćmiony jest chmurami.» Ale dziewica nie rzekła ani słowa; nazyr rzucił okiem na ojca, ten powstał i zbliżył się do córki: »Czyliż to nié masz lepszego odzienia, ażeby w niém pokazać się zacnemu gościowi ojca twojego? Ah, że myto tak biédni jesteśmy! mimo to jednak powinnaś to, co masz, z przyzwoitą nosić ozdobnością; czyliż to ja mam ci wytykać twoje zaniedbanie?» Przy tych słowach, udając jak gdyby chciał coś w jéj ubiorze poprawić, rozpuścił węzeł jéj zasłony. Zaledwie dziewczyna schyliła się po sorbet, zasłona spadła z jéj głowy i odkryła twarz, tak świéżą i powabną, że nazyr w niemém podziwieniu utopił w niej swoje spojrzenie. Nie małe było pomieszanie dziewczyny z tak niespodzianego zdarzenia, ale rumieniec, który się po jéj licach rozlał i spuszczony wzrok jéj wielkich czarnych oczu, których ogień z pod długich rzęs się przebijał podwyższyły tak dalece jéj wdzięki, że nazyr, pełen zdumienia, głośno wykrzyknął: »I tyż to jesteś nędznym człowiekiem! ty żebrakiem! na wszystkie rozkosze obiecanego raju, ty posiadasz skarb, który godzien zdobić pałace króla wszystkich królów! — »Ah ja nieszczęśliwy!» zawołał ketkhoda, załamując ręce; ale już trwogi i niespokoju nie było znać na nim. »Zginąłem! przepadło moje dobre imię na zawsze! precz moja córko! precz nieszczęśliwe dziéwczę, uchodź do matki! i pamiętaj na przyszłość, ażeby zasłona twoja lepiéj była związana, kiedy przychodzisz usługiwać gościom ojca twojego! — »Nie zleś się sprawił, przyjacielu,» odezwał się nazyr, »jak widzę umiész zręcznie zarzucać siatki, ażeby płochego przywabić sokoła. Wszakże to wszystko najwyborniéj idzie! Twój honor zostanie w całości. Czyż nie jeteśmy tu jako przyjaciele? a teraz coś do ucha: Trzymaj się zawsze nazyra Mehdi i spuść się na jego opiekę!» —

Teraz wszczęła się poufna rozmowa, po której nazyr dosiadł konia i odjechał. Ketkhoda, przytrzymawszy mu strzemion, wrócił powolnym krokiem i, jak się zdawało, z uciśnioném sercem do domu.

Tegoż wieczora, tak jak nazyr zapowiedział, przybył Zalim chan do wsi z całym swoim orszakiem, składającym się z trzechset ludzi, którzy się raczéj jak nieprzyjaciele w twierdzy szturmem zdobytej i na rabunek oddanéj z mieszkańcami obchodzili, niż jak ziomkowie z ziomkami, jednemu panu poddanymi. Co tylko znalazło się we wsi, zrabowano, znieważano niewiasty, i wszystko pozostałe bydło na rzeź zabrano Mieszkańcy bowiem, którzy z dawnego doświadczenia wiedzieli, że ci przybysze zwykle tak goszczą, wynieśli się po największéj części z żonami i z dobytkiem swoim, i tylko starcy z dziećmi pozostali na przyjęcie chana. Jeden tylko ketkhoda pozostał z całą rodziną. Umówiwszy się z mieszkańcami o dostawę najgłówniéjszych, ale najmniéj kosztownych potrzeb, spodziewał się, że wpływ pozyskanego, jak mu się zdało, nazyra, zasłoni go przed gniewem Zalima. Dom ketkhody, wyprzątniony z nędznych jego rupieci, ozdobiono pysznemi dywanami z podróżnych skrzyń chana. W krótce zajęto wszystkie izby, nie zważając bynajmniéj na wyrządzoną przez to właścicielowi niedogodność. Gdy wreszcie Zalim rozłożył się w swojéj całéj wspaniałości, odziany szkarłatnym, sobolami obszytym, płaszczem, gdy mu podano złotem wysadzoną fajkę, gdy kawę i wonny sorbet przed nim zastawiono, dał rozkaz sługom, aby stanął przed nim ketkhoda. »Zkąd ci przyszło nędzniku,» zawołał chan w gniewie, »ześ śmiał zaniedbać moich rozkazów i nie przystawić wyznaczonych zapasów? Ha, złoczyńco, czy nie znasz, co to jest *fellik* i *baton?*» *)

*) Ława i rzemień, którym przywiązują skazanych na bastonadę.

»Niech twój niewolnik padnie ofiarą gniewu twojego panie,» odpowiedział drżący ketkhoda, »lecz Ałła jest łaskawy, i ty panie nie odmówisz zapewne łaski nieszczęśliwemu; — bez wątpienia zacny nazyr dał ci wiedzieć panie.» — »Co ten pies mówi?» mruknął Zalim. «Mehdi nazyr przystąp i powiedz, co mają znaczyć te słowa tego nędznika?» — Skłoniwszy się głęboko, przystąpił nazyr i szepnął z boku kilka słów do ucha chanowi. »Ha! — dobrze — obaczymy; ale na brodę proroka, jeżeli nie tak jest, jak mówisz, drżyjcie wszyscy! — Wolno mu odejść.»

Ketkhoda wyniósł się cicho, a chan, gdy przez resztę dnia to fajką się rozrywał, to wydawał rozkazy, to z nazyrem rozmawiał, i do sytu nasłuchał się pochlebstw sług swoich, udał się na spoczynek.

Gdy nazajutrz z rana wszystko na rozkaz Zalima gotowe było do podróży, postrzeżono, że orszak jego pomnożyła postać kobiéca, grubą okryta zasłoną. Właśnie chan kończył ostatnią fajkę — znaczniejsza część oddziału, do którego przyłączyły się kobiéty pod dozorem rzezańców, już była w poruszeniu, gdy nagle daje się słyszeć wrzawa, i młody mężczyzna, ujmującéj postawy, którego odzież w nieładzie i dzikie spojrzenia najwyższą okazywały namiętność, przedziéra się przez tłum i toruje sobie drogę, odtrącając i w lewo i w prawo każdego, który mu postęp tamuje. Daremnie służba chana chce go wstrzymać groźbą i kijami, roztrąca wszystkich przed sobą, przedziéra się i rzuca przed chanem. »Obrońco opuszczonych!» zawołał, »cieniu uciśnionych! niech długo i szczęśliwie żyje Zalim chan! Nakłoń ucha błaganiom niewolnika twojego, którego serce rozdarte, którego światło życia bez twojéj dobrotliwéj pomocy ciemniéjsze będzie, niż przepaść zniszczenia.» — »Mów, rzecze chan, a wzrok jego mierzył z upodobaniem piękną męzką postawę zuchwalca, »mów i powiédz kto jesteś, i jakie twoje żądanie?»

Ucieczko nieszczęśliwych!» odezwał się młodzieniec, »mój ojciec jest blizkim krewnym ketkhody téj wsi, i byli przyjaciołmi od młodości; nasze rodziny żyły razem, i było zamiarem rodziców naszych węzeł téj przyjaźni uczynić jeszcze ściśléjszym przez połączenie dzieci. Od dawna kocham córkę tego starca; wychowaliśmy się razem i wkrótce miała zostać żoną moją, gdy się dowiaduję, że nocy upłynionéj słudzy twoi, panie, wydarli mi moję narzeczoną. Przybywam spiesznie i znajduję, niestety! pogłoskę sprawdzoną. O chanie, nie dozwól tak okrutnego czynu! każ mi powrócić tę, która mi jest droższą nad życie! oby łaska Ałły podwoiła szczęście twoje, zanim je zamienisz na rozkosze raju!»

Te mówiąc słowa, rzuca się młodzieniec do nóg chanowi, i twarz łzami zalaną kryje w kobiercu, na którym jego wysokość jeszcze spoczywała. Upodobanie, z jakiém wzrok chana w początku na młodzieńcu spoczywał, przeszło w ciągu opowiadania, w surowe spojrzenie obrażonéj dumy. »Ten młody człowiek oszalał!» rzekł chan do nazyra obok stojącego — »precz z nim! cóż mię jego Husseini obchodzi?» — »Ah, na imię wielkiego Ałły! na pamięć ojca twojego chanie!» zawołał młody mężczyzna, gdy go gwałtem z przed chana porwano; lecz słowa jego obumarły w tłumie. Ketkhoda był temu wszystkiému obecny, i chociaż usta jego drżały widocznie, nie rzekł ani słowa. Gdy słudzy chana daleko już odwlekli młodzieńca, puścili go wreszcie, a oko jego padło na harem Zalima, który ze wsi wyruszał. »To ona!» krzyknął w rozpaczy, »ona między niémi! — Widzę, jak się wzbrania! — Uwolnię ją, choćbym miał życiem tę śmiałość przepłacić! Husseini! Husseini! mów, pokaż się! — Ibrahim blizko ciebie.» Z tém słowy rzucił się na poczet kobiét konno jadących, a za nim tłum służących chana i ciekawego pospólstwa; bez wątpienia byłby śmierci nie uszedł, bo już i miecze błysnęły i pałki się nad nim wznosiły, gdy w tém wysoka postać, w zwyczajnéj odzieży, ciśnie się przez tłum wzburzony, chwyta silném ramieniem młodzieńca, nachyla się ku niemu i te tajemnicze słowa do ucha mu szepcze: »Daj pokój! poco ten daremny opór! Chcesz zemsty, tedy milcz i udaj się za mną!» Uderzony takiém wezwaniem, spojrzał młodzie-

niec dziko za siebie; opadł na siłach i omdlał. Uwaga prześladowców zwróciła się teraz od młodzieńca, bez duszy prawie leżącego, na ich pana, który głośno o konia zawołał. »Dwie mile ztąd widź się ze mną w Imam Zadeh,» rzekł obcy przytłumionym głosem, i w krótce zniknął za ogrodami włości. (Dokończenie nastąpi.)

Dej algierski.

(Scena z ostatniéj Francuzów do Algieru wyprawy.)

Hussein bej siedział smutny w krzesle z poręczami. Głowę oparłszy na piersi, czasami ją tylko podnosił i rzucał znudzone spojrzenia na otaczające go przedmioty; potém znowu pochylał głowę.

Głębokie zachowywał milczenie i innego znaku życia nieokazywał, jak tylko machinalne, ledwo dostrzeżone poruszenie niechęci.

A otaczający go oficérowie mówili do siebie cichémi głosy: »Co za marzyciel!» On jednak nie marzył.

Bo chcąc, ażeby dej marzył, trzeba, ażeby niedbale na miękkich rozłożył się poduszkach, a młoda Afrykanka, z czarnémi piersiami, wachlarzem z piór, odświeżała mu powietrze.

Musi być otoczony niewolnikami, których głowa spaśćby mogła przy najmniejszém poruszeniu oka jego. Nie powinien słyszéć słów francuzkich, widziéć żołnierzy w mundurach europejskich, żołniérzy, którzy go pojmali i gdzieś daleko z gorących stref Afryki wywiezą.

On nie marzył — nie! — Ale myśl o zniszczonéj jego potędze, niemą trwogą ściśniała mu piersi, boleśniéjszą jak przemijający wykrzyk rozpaczy. — Myśl o zniszczonéj potędze ciągle zatrudniała jego wyobraźnią.

Jeden z monarchów zniweczył jego potęgę! I dla czegoż?.. dla pomszczenia się zniewagi, którą jednemu z jego poddanych zrobiono — zniewagi, którą Algierczyk byłby się cieszył jeszcze, jak łaską.

Mścić się za poddanego!.. Tego dej pojąć nie mógł. — Poddany?... Cóż jest poddany w jego oczach? — Niewolnik, nadstawiający kark pod miecz oprawcy, albo szyję pod duszący sznurek. Poddany! Czémże jest poddany podług wyobrażeń jego?.. Niczém! W oczach jego jest to przedmiot, który tak długo służy, jak długo upodobanie w nim znajdujemy, a który potém oddalić lub zniszczyć mozemy.

I z powodu jednego poddanego król francuzki tak liczne wojska posyła przez morza!.. Niszczy królesto?... Z tronu zwala deja?

Jakąż władzę musi posiadać monarcha ten, którego zemsta tak straszna, a który tak wyniosle myśli, że już obrażonym się czuje, kiedy kto jednego z jego poddanych obrazi? —

Gdy Hussein tym sposobem oddawał się myślom, jednemu z oficérów sztabowych, strzeżących więźnia, plik papiérów wręczono. Oficér przeczytawszy je, wykrzyknął: »Karol już nie jest królem!» I z poruszeniem niewymownem opowiedział kolegom, jak król ten zerwał związek, łączący go z poddanymi, jak wiele krwi upłynęło, jak się lud pomścił, i odzyskał prawa i swobody swoje.

Przy piérwszych słowach oficéra Hussein podniósł się z krzesła. Smutna fizijonomija jego nabrała wyrazu radości, a padłszy obliczem na ziemię, słyszano jak mówił: »Bóg jest Bogiem, a Mahomed jego prorokiem! Allah! Allah! pomszczono się za najwierniéjszego po między wiernymi!»

Otaczający go oficérowie uśmiechali się, a szef ich starał się wyjaśnić więźniowi, z jakiéj przyczyny zaszły tak szczególne wypadki.

Opowiadał mu o związku towarzyskim między królem a podanymi istnącym, o przymierzu uroczyście zaprzysiężoném, które nadwerężone zostało — Hussein go nie rozumiał.

Nie znał innego przymierza między poddanym a królem, jak krwawe przymierze przemocy i bojaźni.

Opowiadał o pewnym skarbie, który wolnością nazywał, o skarbie, który zabrany, gniew pałający w żyłach obudza, a dla którego odzyskania majątek, a nawet życie poświęcano. — Hussein nie rozumiał

go. — W Algierze niewola tylko panowała. Nie było innego skarbu prócz złota. Opowiadał o powstaniu bez rabunku, o rokoszu bez nieporządku, o walkach, po których ukończeniu zwycięzcy razem ze zwyciężonymi z równą troskliwością pielęgnowani byli.

Hussein nie rozumiał go; w Algierze albowiem buntują się dla rabunku, podpalania, krwi rozlewu. Po zwycięztwie, rannych wrzucają w morze.

Opowiadał o monarzse detronizowanym, któremu lud na wygnaniu nawet dobrodziéjstwa wyświadcza. Słysząc ten cud ostatni Hussein wstrząsnął głową i rozśmiał się z niedowierzaniem. Deja albowiem, gdy wpadnie w ręce rokoszanów, niemy eunuch dusi strasznym sznurkiem.

Poczém Hussein znowu w dawne zapadł zamyślenie, przekonany, że mu nieprawdę powiadano.

Czasami jednak, gdy słyszał, jak otaczający go żywe prowadzili rozmowy i wesołe okrzyki wydawali, gdy widział, jak namiętni stroili się trójkolorowémi wstążkami, zaczynał poniekąd wierzyć ich do prawdy nie podobnym powieściom. Wszelako wszystkie te szczegóły wystawiał sobie tylko jako cud nieba i cichym powtarzał głosem: »Bóg jest Bogiem, a Mahomed jego prorokiem! Allah! pomszczono się za najwierniéjszego po między wiernymi!« —

Koń dziki w Ameryce północnéj.

Na rozległych łąkach ku zachodowi od Mississipi znajdują się całe stada koni dzikich, pochodzące od koni, które zbiegły od osad hiszpańskich z Mexyku. Dawniéj były takowe i w kraju Kutannów, koło północnych upływów Kolumbii, po stronie wschodniéj Rocky-Mountainu, ale w nowszych czasach wytępiono je z tamtąd zupełnie prawie. Daléj na przód zaś, aż do pięćdziesiątego trzeciego stopnia szerokości północnéj, nie widziano ich w stanie dzikim. Młode ogiery formują osobne stada, a na ich czele postępuje stary ogier. Łatwo je złapać można, wyprowadzając im klacze oswojone. U Osagów są konie głównym przedmiotem polowania. W liczném towarzystwie udają się ci w krainę kanadyjskich Red Rywów, gdzie w znacznéj ilości znajdują się konie dzikie. Dostrzegłszy stada, rozdzielają się na trzy części, z których każda spłoszoną kupę drugiéj przygania, aż dopokąd zmordowane zwierzęta, zwłaszcza że ich prześladowcy nieustannie świéżych koni używają, dłużej unikać nie są w stanie. Koń swojski niezmierną ma wartość u koczujących pokoleń Indyjanów, błąkających się po obszernych płaszczyznach po między Sackatszewanem i Missurą. Takowy jest im albowiem nie tylko bardzo potrzebnym do przeprowadzania namiotów i rodzin, ale oraz nieodzownym do polowania na bawoły, co najmilszém ich jest zatrudnieniem. Skraść konie pokoleniu nieprzyjaznému, jest dziełem równie tak heroicznem, jak nieprzyjaciela na bojowisku zabić. Nie do uwierzenia jest prawie, jak daleko za tą kradzieżą koni upędzają się i ile trudów ponoszą. Indyjanin mający dobrego konia, w nocy nawet spać nie śmié; siedzi u drzwi namiotu swojego, trzymając w jednéj ręce cugle, w drugiéj strzelbę; do tego jeszcze przednie nogi konia rzemieniem są spętane. A jednak często się zdarza, że usnąwszy na chwilę, raptem się budzi i słyszy, jak złodziéj z koniem jego ucieka. Spokanowie, zamieszkujący kraj między obu odnogami Kolumbii, równie jak wiele innych pokoleń Indyjanów, lubią jeść mięso końskie, a często i urzędnicy kompanii Hudson Bajskiéj; oprócz tego pokarmu, innego dostać nie mogą.

Żebracy Mekki.

Nigdzie tak bezczelnych nié ma żebraków, jak w Hedszac, to jest, w okolicy świętych miast Mekki i Medyny, gdzie nie wypraszają jałmużny jako daru, ale wymagają jéj, jakoby gruntowne do tego prawo mieli. Podczas pobytu Burkhardta w Dschiddzie, po modlitwie południowéj, wstąpił pewien żebrak z Jemanu na meczet, i wrzeszczał tak głosno, iż daleko w około sły-

chać można było: »Ja proszę Boga o pięćdziesiąt dolarów, zupełny ubior i egzemplarz koranu.» — To powtarzał codziennie przez kilka niedziel prawie, aż jeden z pielgrzymujących Turków, prosił go, czy nie raczyłby przyjąć 30 dolarów, a poprzestać krzyków i wszystkim przytomnym Hadszom wstydu nie robić. — »Nie,» rzekł żebrak, »nie poprzestanę, bo wiém, iż Bóg da mi właśnie tyle, o ile go proszę tak usilnie.» Gdy kilka dni jeszcze swą wrzeszczącą powtarzał modlitwę, tenże sam pielgrzym dał mu całą żądaną summę, nie otrzymawszy nawet najmniéjszéj za to podzięki. W meczetach Mekki częstokroć zaraz po modlitwie dają się słyszéć głosy: »Bracia! Wierni! ja potrzebuję tylko 20 dolarów na powrót do domu, Bóg jest wielki i miłosierny, mógłby mi sto zesłać, ja przecież żądam tylko 20. Pamiętajcie, że dobroczynność najpewniéjszą jest drogą do nieba.» Ta bezczelność często pożądany otrzymuje skutek.

Przychylność między zwierzętami.

O przywiązaniu, jakiego wzajem nabiérają zwierzęta p[illegible]z długi pobyt wspólny, wiele ciekaw[illegible] opowiadają rysów, mianowicie o dwu strusiach, samcu i samicy, które długi czas w *Jardin des plantes*, w Paryżu, trzymanémi były. Powałowe okno, znajdujące się nad niémi, stłuczonem zostało, trzygraniasty szczerb szkła padł na dół, a w krótce potém (zapewne połknąwszy go) zasłabła samica, i w kilka godzin śród wielkich męczarni zginęła. Odkąd zdechłą wzięto z tego przybytku, drugi struś nie miał spokoju, ciągle zdawał się czegoś szukać, niknął jawnie, a lubo, by nie tęsknił dalej, umyślnie oddalono go z tego miejsca, wkrótce zdechł, możnaby powiedzieć, iż wyraźnie z żalu.

W innym przypadku, użyto dla zapobieżenia tak złym skutkom innego środka. Pewien Anglik posiadał parę szarych żurawi (*Ardea pavonina*), z których niespodzianie zdechł jeden. Niepocieszonym był drugi po stracie towarzysza swego, i byłby pewnie, jak tamten zginął, gdy właściciel padł na myśl dobrą i rozkazał w miejsce, gdzie go trzymano, wnieść wielkie źwierciadło. Skoro w témże obaczył żuraw własną postać swoję, wyobraził sobie, iż jego towarzysz, za którym tak długo tęsknił, powrócił. Stanął wprost przed źwierciadłem, trzepał się i różnémi sposobami okazywał swą radość. W krótce odzyskał swe zdrowie i wesołość, żył jeszcze lat wiele, ale najwięcéj czasu trawił przed źwierciadłem.

(*Magazine of natural History.*)

Iben Oas i Harun al Raszyd.

Wschód, równie jak zachód miał w czasach, które teraz peryjodą ciemnoty i barbarzyństwa nazywamy, w używaniu przy dworach trefnisiow. Sławny kalif Harun al Raszyd miał trefnisia, zwiącego się Iben Oas, którego żarty i dowcipy dotychczas często cały Wzchód w podziwienie wprawiają. Pewną razą wezwał go kalif, w przytomności dworu, by powiedział przeproszenie, któreby gorsze było nad urażę, z któréj powoduby pochodziło. Za chwilę wcisnął się Oas po za tron i tęgiego szturkańca w bok dał władzcy wschodu. Wściekłość Haruna była bez granic, już miał mu kazać głowę uciąć, gdy w tym trefniś przepraszając, rzecze: »Daruj najjaśniéjszy panie! jam myślał, że to najjaśniéjsza pani» — co, zwłaszcza na Wzchodzie, daleko większym byłoby występkiem, a przezto wymówka była gorszą od przewiny, i otrzymał przebaczenie. —

WIADOMOŚCI ROZMAITE.

— *Z Rossyi.* —

Ostatni, roku 1828 wydany ukaz o cenzurze książek w Rossyi zawiéra następujące miejsce: „Cenzura nié ma prawa trudnić się rozpoznawaniem, czy zdania autora dobre są lub złe, jak dalece takowe nie sprzeciwiają się ogólnym uchwałom, tyczącym się autorów; tém mniéj oraz na to uważać powinna, czy przełożone jéj dzieło pożyteczne lub nie, zwłaszcza, jeżli nie wykracza przeciw religii, rządowi, dobrym obyczajom i nikogo osobiścinie obraża. Nie należy do niéj poprawiać styl, albo błędy autora, jeżli takowe tylko do literackich należą i nie dotyczą się òwych wyżéj wyrażonych cztérech punktów.‟ Do ukazu tego dodano uchwałę, tyczącą się praw autorów.

Na mocy téjże sukcessorowie autora lat 25 mają prawo do dzieł jego, i dopiero po upływie tego czasu, takowe powszechném stając się dobrem, od każdego drukowane, wydawane i sprzedawane być mogą.

— Ze Szwecyi. —

Pewien Szwed wynalazł machinę do ogrzéwania pokojów bez drzewa. Jestto pojedyncze narzędzie, składające się z dwóch kół, które się, jedno obok drugiego, tak prędko obracają, iż przez to tarcie wydobywa się ciepło i powietrze w pokoju ogrzéwa.

— Z Pragi. —

W zeszycie piątym *Czechosława*, pisma czasowego wychodzącego w Pradze w języku czeskim, umieszczone są tłómaczenia poezyj naszego galicyjskiego, zaszczytnie z pism swoich, znakiem *A.* podpisywanych, i gorliwych przedsięwzięć około dobra literatury ojczystej, znanego autora, p. Adama Rościszewskiego. Wiersze te wspominają sposobem pochwalnym księżnę jenerałowę Czartoryską, J. U. Niemcewicza, hr. Morską i p. Głowackiego, rytownika.

— Z Włoch. —

W rozmaitych prowincyjach Lombardyi samobójstwa roku 1826 były w takim stosunku do ludności: W Brescyi 1 somobójstwo na 120,256 ludzi; w Lodi 1 na 109,410; w Como 1 na 100,749; w Pawii 1 na 91,084; w Bergamo 1 na 82,012; w Mantui 1 na 79,083; w Kremonie 1 na 72,748; w Sondrio 1 na 66,537; w Medyjolańskiém 1 na 53,328; a w samém mieście Medyjolanie 1 na 18,111 ludzi.

— Z Francyi. —

Roku zeszłego na trzynastu teatrach dano w Paryżu 175 sztuk nowych, to jest: 7 trajedyj, 13 tak zwanych dram, 32 komedyje, 21 oper, 28 melodramów, 73 vaudevillów i 2 pantomimy. Najzyskowniejsze sztuki były: *Hernani; Fra Diavolo; 27go, 28. 29. lipca; Wolter u kapucynów; Henryk V. i jego towarzysze; Szkoła w Bryennie; Połop i cesarz.* Wystawiono sztuki 144 autorów i 9 kompozytorów. Najwięcej sztuk napisali Scribe i Melesville, piérwszy 13, drugi 11 sztuk.

M o d y   p a r y z k i e.

Najmodniejsze są u dam wierzchnie suknie koloru papużego, ze stanem jednostajnym, a pod spód biérze się szeroką spodnią suknią. Na ubior ten biorą damy szarfy z gazy kaszem rskiéj, lub z innéj tym podobnéj wełnianéj materyi, jasnym jedwabiem haftowane. Ubior negliżowy jest kapota z krepy, morą podbita, i półbuciki takiegoż, jak suknia, koloru.

Damy mniéj jak dawniéj noszą włosów na czołach. W ręku elegantki powinien być woreczek na pończochę, bardzo mały i okrągły, ze złotym zamkiem. Lecz pończochy w nim nié ma, najwięcéj jeżli mieści w sobie sakieweczkę, chustkę i bilet wizytowy.

Noszą samizetki z muszlinu lub tiulu, z poczwórnémi spadającémi kołniérzami, także okrągłe szpencerki z muszlinu, *Canezus* zwane.

Eleganci noszą białe pantalony, lub z nankinu, z tych jedne są tak szerokie i długie, że ledwo nogi widać, drugie znowu bardzo wązkie.

Postawy i ubiory wojskowe są tu najwięcéj w modzie między młodzieżą płci męzkiéj. Wszyscy noszą wąsiki, widać często czarne chustki, białe kamizelki i pantalony uniformowe. Miasto kapeluszów niekiedy postrzédz można czapeczkę, zwaną *bonnet de police.* Na baulewardach, lub gdziekolwiek wszędzie zdybuje się młodzież z cygarami w ustach.

M o d y   l o n d y ń s k i e.

Najmodniejsze materyje są zwane *foulardy*, krepy chińskie, kadrylowane i wodniste *gros de Naples.* Kolory najmodniéjsze są: błękit Adelaidy, kolor kanarkowy, bladozielony, blado-różowy i delikatne odcienie *lilas.*

Kolory fraków są: czarne, granatowe, oliwkowe i zielone; ciągle są jeszcze z podwójnemi klapami i z kieszenią na piersiach po lewéj stronie. Kołnierze aksamitne. Rękawy u góry już nie bardzo pełne.

Eleganci londynscy noszą na jednym palcu lewéj ręki pół tuzina złotych pierścionków, co się nazywa modą polską. (P)

Nowe listy króla Jana III.

Jako o osobliwości literackiéj, winniśmy wspomnieć o nie drukowanych dotąd listach króla Sobieskiego, których wydaniem trudnił się we Florencyi niezmordowany filolog Ciampi. Rzucają one nowe światło na dzieje Polski. I tak n. p. monarcha ten żądał zaprowadzenia dobréj piechoty, ale magnaci, obawiając się o swoję osobistą władzę, w któréj wspiérała ich zawisła od nich jazda, nic o tém słyszéć nie chcieli.

Nowe dzieło o Polszcze.

Roku zeszłego wyszło w Paryżu dzieło: *Tableau de la Pologne ancienne et moderne, publié en un volume, par Malte-Brun; nouvelle édition refondue et augmentée par L. Chodzko en deux volumes* P. Leonard Chodzko, znany uczonému światu jako pisarz pomniéjszych artykułów polskich, wydawca w Paryżu dzieł Mickiewicza, rozszerzeniem dzieła p. Malte-Brun i zbogaceniem go wielą dodatkami, zasłużył na wdzięczność czytającéj publiczności.

K o l o r y   ż a ł o b n e.

Pewien dziennik angielski, mówiąc o tamtéjszych uroczystościach pogrzebowych, robi uwagę, że w Europie żałobnym kolorem jest czarny; w Chinach biały; w Turcyi błękitny albo fijoletowy; w Egipcie żółty; w Etyjopii szary. Kobiéty dawnych Spartanów i Rzymian nosiły białe żałoby. W takiejże saméj żałobie chodzono niegdyś po królach kastylijskich; a ostatnią razą roku 1498 po śmierci króla Juana. Królowie i kardynałowie noszą fijoletowe, albo purpurowe żałoby.

D r z e w o   m l é c z n e.

Najosobliwszém drzewem Kolumbii jest drzewo mléczne, dochodzące niekiedy do stóp sto-czterdziestu, a które przebite w korze, wydaje sok, mający zupełnie farbę mleka krowiego, a zapach i smak śmietany kwaśnéj. Sok ten, czas dłuższy na świéże powietrze wystawiony, brudnieje, a gdy wyschnie, staje się do wosku podobnym i pali się czysto i jasno. Krajowcy i Murzyni idą co rano do tych drzew i sokiem ich napełniają naczynia, który częścią natychmiast piją, częścią dzieciom do domu zanoszą. Drzewa przy drogach rosnące mają dużo dziur, która podróżni robią, zaspakajając sokiem ich głód i pragnienie.

K s i ę g i   B a s z k i r ó w.

Baszkirowie twierdzą, że posiadają księgi, których tekst w piekle ułożony. Wykładacze ksiąg tych, mają znać przeszłość, teraźniejszość i przyszłość, i są w związkach z duchami, z pomocą których cuda niesłychane robią; n. p. zaciemniają słońce i księżyc, wyrywają gwiazdy z widnokręgu i ciskają na ziemię, tworzą i uskramiają burze. Gdy potrzebują pieniędzy, zawiadamiają o tém diabła, a ten skradłszy natychmiast złoto i srébro u bogaczów, niémi skrzynie swego mistrza zapełnia.

Redaktor, Mikołaj Michalewicz. — Drukiem Piotra Pillera.